Nr. 28. We Lwowie dnio 12. lipca 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Antoni Mihanowić.

Parę tygodni temu całe społeczeństwo chorwackie uroczyście obchodziło setną rocznicę przyjścia na świat Antoniego Mihanowić'a, autora pieśni „Lijepa nasza domovina“, która stała się tem dla Chorwatów, czem dla Polaków „Jeszcze nie zginęła“ lub dla Czechów »Kde domov muj«. Rocznicę urodzenia Mihanović'a obchodzono nietylko w Zagrzebiu, ale i we wszystkich mniejszych miastach i miasteczkach Chorwacji: w Osieku, Luszaku, Karłowcu, Belowarže itd., tudzież wszędzie na obczyźnie, gdzie się tylko gromadzi jakaś kupka młodzieży chorwackiej. Chorwackie stowarzyszenie akademickie we Wiedniu „*Zvonimir*“ urządziło na cześć Mihanović'a obchód uroczysty, w którym wzięli udział przedstawiciele narodu chorwackiego ze wszystkich prowincji. Najpiękniejszą mowę wygłosił Chorwat-mahometanin z Bośni Safvet beg Baszagić. I Serbowie, którzy zwykle powstrzymują się od udziału w uroczystościach chorwackich, uczcili Mihanowić'a, jako chlubę wspólnej serbsko-chorwackiej literatury.

Ponieważ Mihanowić najzupełniej, nawet z imienia, nie jest znany publiczności naszej, przeto podajemy czytelnikom „Tygodnia“ krótki zarys jego życia i działalności.

Autor chorwackiego hymnu narodowego urodził się dnia 10. czerwca roku 1796 w poetycznem Zagorju. Rodzina, w której przyszedł na świat, odznaczała się tem, że starannie pielęgnowała narodowego ducha chorwackiego, co było wówczas zjawiskiem dość rzadkiem, gdyż świadomość narodowa wśród inteligencji chorwackiej była bardzo słabą.

Udawszy się na naukę do Wiednia, Mihanović wchodzi w koło młodych Chorwatów i Serbów, którzy marzyli o podniesieniu i rozwoju podupadłej i puszczonej w zapomnienie mowy ludowej. Już w r. 1815 Mihanowić występuje z malutką książeczką p. t.: „Recz o hasnovitosti pisanja vu domorodnom jeziku“, w której z zapałem ogromnym udowadnia potrzebę pielęgnowania języka chorwackiego. Mihanović w dziełku swem wyrzuca Chorwatom, że przyjęli język łaciński, a zaniedbali swój ojczysty. Dziewiętnastoletni młodzieniec zwracał się przedewszystkiem do swoich rówieśników, spodziewając się, że właśnie młodzież chorwacka przyczyni się do odrodzenia języka i narodu.

Jednakowoż idea, propagowana przez Mihanović'a, nie była dostatecznie zrozumiana. Tylko nieznaczna liczba Chorwatów ówczesnych pojmowała, jakie znaczenie może posiadać literatura narodowa w języku, dla jak najszerszych mas zrozumiałym. Nic zniechęciło to jednak Mihanović'a do dalszej agitacji w raz obranym kierunku.

W r. 1818 odnalazł Mihanowić we Włoszech sławny poemat Ivana Gundulić'a „Osman“, który tak samo, jak i cała świetna literatura dubrownicka, poszedł w zupełne zapomnienie. Wczytując się w poemat znakomitego poety dubrownickiego, Mihanowić postanowił wydać »Osmana« ponownie i w tym celu zwrócił się do całego społeczeństwa chorwackiego z odezwą, pragnąc w drodze prenumeraty zebrać środki do wydania potrzebne. Jednocześnie z tem chciał zabrać się Mihanowić do wydawania pisma chorwackiego we Wiedniu. Niestety, ani odezwa, ani zaproszenie do przedpłaty na »Oglasnik Ilirski« — jak się pismo miało nazywać — nie odniosły żadnego skutku. Społeczeństwo chorwackie nie odczuwało jeszcze było potrzeby literatury rodzimej.

Ale ziarno, rzucone przez Mihanowića, nie zmarniało. Szczupłe z początku grono zwolenników samodzielności literackiej Chorwatów po-

woli, ale stale powiększało się tak, że kiedy w kilkanaście lat potem wystąpił sławny Ljudevit Gaj, idea ilirska przez niego głoszona, natrafiła na grunt dostatecznie przez Mihanowića przygotowany.

Niepowodzenia ustawiczne nie złamały Mihanowića, ale zniechęciły go poniekąd, to też na czas jakiś porzucił działalność literacką i poszedł do wojska. W r. 1836 wstąpił na drogę karjery dyplomatycznej i osiadł w Belgradzie jako pierwszy ambasador austrjacki przy dworze księcia serbskiego Miłosza Obrenovića. W Serbji odżył w nim pociąg do literatury, do czego przyczyniły się echa tego ruchu ilirskiego, który wówczas objął już prawie całą Słowiańszczyznę południową. W Białogrodzie pisał poezje, które niestety, zaginęły

Nie długo pozostawał Mihanowić w Białogrodzie. Służba dyplomatyczna przerzucała go z miejsca na miejsce. Był jakiś czas w Solonikach, w Smyrnie, w Carogrodzie i w Bukareszcie. Nie zapominał jednak na obczyźnie o swym narodzie i skwapliwie wyszukiwał, gdzie się to tylko dawało starych druków i rękopisów cyrylskich i głagolickich. Zbiory Mihanowića z owych czasów, znajdujące się obecnie po części w Petersburgu, po części zaś w Zagrzebiu, stanowią skarbiec niewyczerpany nadzwyczaj cennych materjałów dla slawistów, historyków i archeologów.

W r. 1835 w jednym z pierwszych Nr. wydanej przez Gaja »Danicy« ukazała się poezja o ośmiu zwrotkach pt. »Nasza domowina« (Nasza ojczyzna), podpisana przez Mihanowića. Poezja ta, opisująca we wdzięcznych wierszach czarodziejską piękność ojczyzny chorwackiej i jej sławę, stała się nadzwyczaj popularną już w bardzo krótkim czasie. Kiedy zaś pewien młody kompozytor chorwacki dodał do niej śpiewną melodję, pieśń »Lijepa nasza domowina« przyjęto za hymn narodowy chorwacki.

Mihanowić zmarł w r. 1861. Kilka jego prac literackich dziś już nie posiada żadnego znaczenia, jego nieliczne poezje poszły w zapomnienie, ale hymn »Lijepa nasza domowina« rozbrzmiewa dziś po całej Chorwacji, Dalmacji, Slawonji, Bośni i innych krajach, gdzie tylko rozlegają się dźwięki pięknej mowy chorwackiej.

Leon Wasilewski.

SEN.

Było to przed kilkoma laty. Wracałem do domu po paruletniej niebytności, wracałem z maturą w ręku z jednego z miast południowej Rosji, dokąd mnie zapędziła z rodzimych stron za »polakowanie« wszechwładna moc pana Siengalewicza, dyrektora gimnazjum Lubelskiego.

Upał był nieznośny. Lipcowe słońce zalewało gorącemi potokami światła spragnioną zie-

14)

Dr. FAUST.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

W wypukłych rzeźbach kosza migotały płomyki świec... dziesiątki, setki, drobnych, ruchliwych płomyków — drgało na powierzchni kosza...

Pola zmrużyła oczy; czuła, że jako gospodyni, powinna rozmawiać, zapraszać... Świadomość ta znikała powoli: goście jedli dobrze, pili jeszcze lepiej. Doktór nalał jej pół kieliszka starego wina, trącił swoją szklanką w kieliszek, namawiał, żeby wypiła.

Potrzęsła głową przecząco. Słyszała, jak śmieli się obaj ze Strusiem, jak trącając się szklankami przez stół, wypowiadali jakieś życzenia ochrypłym, stłumionym głosem; słów nie dosłyszała.

Sen ją ogarniał...

Po kolacji, gdy Pola chwiejnym krokiem odchodziła do swego pokoju, doktór przeprowadził ją wzrokiem.

Zapalił cygaro — rozejrzał się zwolna po sali.

Stare wino zaczynało działać; dopijał czwartej szklanki.

Wzrok się rozjaśnił — pamięć odmłodniała...

— Pola dziwnie do matki podobna!

Rozbierał w myślach jej rysy, oczy; wspomnienia się plątały... raz widział matkę, raz — córkę.. Uśmiechał się do obu, mrużył załzawione oczy.

Wylał resztę wina z butelki do szklanki i zapalił nowe cygaro.

— Biedna kobietka!

Rozrzewniał się nad jej wątłym wyglądem, przypomniał sobie czerwoną fizjognomję Oborskiego, z rudemi faworytami i — zacisnął zęby...

Naraz uczuł jakby wyrzuty sumienia... Powinien był przeszkodzić temu małżeństwu... znał przecież grubą, szorstką naturę swego kuzyna...

Powinien był to zrobić przez pamięć dla... tamtej!...

Jak drogą była mu Pola, przekonał się dopiero dziś, teraz; przekonywał się coraz bardziej, gdy myślał o niej, popijając stare wino...

— Biedne dziecko!...

mię, powietrze stało nieruchomie, szkląc się i przelewając przeźroczystą falą nad zielonemi łanami zboża. Nie duże koniki Michała, znajomego mi gospodarza z tej samej wsi, do której właśnie dążyłem, dreptały apatycznie po piaszczystej drodze, poruszając chmury szarego dusznego kurzu, szarpiąc się w szlejach i opędzając przed natrętnemi bąkami.

Zmęczony gorącem i kilkumilową jazdą od najbliższej stacji kolejowej, k wałem się w półśnie w takt nierównym poruszeniom wózka, budząc się co chwila przy silniejszem szarpnięciu lub przy bardziej energicznem »przemówieniu« Michała do honoru ociężałych koników. Naraz uczułem, żeśmy się zupełnie zatrzymali. Otworzyłem oczy i kierując się wzrokiem woźnicy, ujrzałem gromadkę ludzi — jednego mężczyznę i cztery czy pięć kobiet wiejskich — którzy szli wązką drożyną między polami, krzyżującą się z naszą drogą. Kobiety niosły przed sobą w płachtach, przewieszonych przez prawe ramię toboły, w jakich zwykle noszą po wsiach małe dzieci, a szły widocznie bardzo spiesznie, gdyż pomimo lekkiego przyodziewku pot kroplisty spływał strugami po ich spalonych i warstwami kurzu pokrytych policzkach.

Gdy się zrównali z nami, Michał pozdrowił ich, a potem zapytał:

— To na całą noc idzieta?

Odpowiedzieli mu milczącem skinieniem głowy, patrząc jednocześnie z pewnem niedowierzaniem na moją studencką liberję i nic zatrzymując się poszli dalej.

— A daj wam Boże choć aby szczęśliwie! — krzyknął Michał i przeprowadzając ich długiem spojrzeniem, uchylił pokornie czapki i spojrzał w niebo, jakby chciał wyprosić dla nich powodzenia, a z piersi jego wyrwało się ciężkie westchnienie.

— Oj, Jezu, Jezu słodki!

Spojrzałem na niego z pewnem zdziwieniem.

Podróżni wyglądali na przemytników, których nie brak w moich rodzinnych stronach, a wiedziałem, że jako żywioł warcholski, upędzający się za łatwym zarobkiem, nie cieszyli się oni wielkim mirem u statecznych, jak Michał, gospodarzy. Bardziej jednak dziwił mię udział w podobnej wyprawie kobiet z dziećmi, więc zapytałem Michała:

— Cóż to, teraz i z dziećmi nie boją się chodzić po gorzałkę?

— Bogać tam po gorzałkę! — odparł Michał — komu ta teraz gorzałka w głowie. Do chrztu niosą dzieci do Galicji.

— Jakto? — zapytałem zdziwiony, — alboż mało jest kościołów u nas, żeby z dziećmi aż za granicę chodzić?

Michał obrócił się ku mnie na łokciu i pokiwał głową.

— E, to panicz widać i nie słyszał, co się u nas teraz dzieje; to panicz nie wie, że choć kościołów chwalić Boga nie brak, ale nie wszyscy mają do nich dostęp.

Nerwowa strasznie! Spostrzegł to odrazu i.., ucieszył się, jak podłe bydlę!.. Tak, rad był, gdy spostrzegł, że działa na nią z piorunującą siłą!... Wpatrywał się, jak w swoją ofiarę, a serce biło mu radośnie, gdy widział, że biedaczka poddaje się bez oporu... Ułożył już nawet cały plan prób i doświadczeń... Że materjał był niezwykle podatny — nie wątpił ani na chwilę..

Zżymnął się, odtrącił pustą szklankę; z cygarem w zębach zaczął biegać po pokoju.

On miałby ją narażać na takie męczarnie...

Przed oczami stanęły media, wijące się w transie, z wyrazem cierpienia na wykrzywionych twarzach, z pianą na ustach, z zaciśniętemi zębami, głuchym jękiem błagające o litość...

Zżymnął się.

Ni z tego, ni z owego, stanął w oknie obok Strusia, objął go za szyję i pocałował w policzek.

— A co! Stare wspomnienia chodzą po kościach? — spytał z młodzieńczą brawurą. — I ja tu odżyłem. Kto wie, może odnalazłem część duszy, tę najlepszą, którą się traci za młodu raz na zawsze... Tyle się tu przecierpiało, tyle przemyślało, że pobyt taki bez śladu przejść nie mógł. Wróciłem, a zostawione tu niegdyś myśli i uczucia wyszły na moje spotkanie.

Struś słuchał, wpatrzony w podwórze, zalane światłem księżyca.

— Jutro idziemy na polowanie — mówił dalej doktór — potrzebuję ruchu, powietrza, natury Wiesz co — dodał ciszej — czasami zdaje mi się, żem za daleko odbiegł od rzeczywistego życia, żem się oddał zbyt gorliwie jednej jedynej idei — spróbuję godzić jedno z drugiem, póki czas.. Ech, głupi Mefisto, wyrzekł się swojej roli, a miałby tyle do zrobienia na świecie.

Struś poklepał go po ramieniu.

— Pijanyś, kochanku.

— Ja?

— No, nie ja przecież!

Doktór podrzucił ramionami, z wesołym uśmiechem.

— Jeżeli tak działa wino, od dziś zaczynam się upijać! Wiesz co... Et, znowu powiesz, żem pijany, a ja tylko obejrzałem się na przeszłość i odżyłem trochę, o ile zmęczony życiem biedak może odżyć pod wpływem...— Machnął ręką.

Chwilowa wesołość przechodziła w melancholję; gorąco mu było przytem; zdjął krawat, położył na oknie, poruszył szyją w obcisłym stojącym kołnierzyku... Westchnął.

Wsunął głowę w szerokie ramiona, twarz przybrała zwykły, ponury wyraz.

Patrzałem na niego coraz bardziej zdziwiony, nie mogąc wprost zrozumieć, o co mu chodzi. Jakiem już wspominał, w domu od paru lat nie byłem, a nie słyszałem o żadnych nowych uciskach.

Michał, widząc moje zaciekawione spojrzenie, jął mówić dalej:

— Oj tak, paniczu kochany, ciężkie teraz czasy nastały dla nas biedaków, a za czyje winy? Bóg wie... Dawniej, bywało, za pańszczyzny, urodzi się komu dziecko, to aby czasu nie mitrężyć, — każą chrzcić, gdzie bliżej, u księdza katolickiego czy unickiego, bo to niby było wszystko jedno. A teraz wyszedł ukaz, że gdzie w jakiej rodzinie czyj choćby dziadek, czy babka byli chrzczeni w unickiej cerkwi, to już ta cała rodzina musi być prawosławna. — I ot, u nas w całej wsi niema być teraz ani jednego katolika.

Zamilkł i westchnął ciężko, a ja siedziałem, jak oszołomiony. W głosie Michała nie czuć było wyrzutu, a jednak to jego nawiązanie teraźniejszej niedoli z dawno zagrzebaną pod gruzami niesławy pańszczyzną bolało mnie niewymownie, bolało za tych, co dla oszczędzenia czasu mogli wydawać rozkazy, brzemienne w tak smutne następstwa. Nie wiem, czy miałem słuszność, ale długi czas nie miałem odwagi spojrzeć w oczy Michałowi, zanim nareszcie zapytałem go nieśmiałym, łzami nabrzmiałym głosem:

— No i jakżeż, jak sobie radzicie?

— At, jaka nasza rada! albo my wiemy, co na to poradzić? Jeździli już od nas wszystkich chłopy i do Warszawy i do Petersburga, kłaniali się, prosili, ale czy będzie z tego jaki pożytek? A tymczasem męczymy się, jak przy skonaniu. Komu się dziecko urodzi, niesie za granicę. Złapią go, zapłaci karę, a nie złapią, — także zapłaci, jeżeli nie zechce chrzcić drugi raz u popa, a ktoby to chciał! niech lepiej niebożątko umrze choćby zupełnie bez chrztu — Pan Bóg miłosierny pozna tam jego i tak i przyjmie do swojej chwały, boć ono niewinne. Śluby także chodzili z początku brać za granicę, boć wiadomo, chłop w gospodarstwie bez żony, to jak bez prawej ręki. Ale jak zaczęli nakładać kary, a rozpędzać takie zagraniczne małżeństwa, a mordować za to, że to niby nie pobożemu, nieślubnie z sobą żyją, tak teraz zupełnie przestali się żenić i chłopcy i dziewuchy się starzeją i gospodarstwa idą na marne. Ale niech tam; niech tam przepadnie wszystko, ale się nie zaprzedamy, — do cerkwi nikt nie pójdzie, nikt!

Michał mówił spokojnie, napozór nawet zanadto obojętnie, ale czuć było pod powłoką tej obojętności niezłomną, jak głaz, wolę, która potrafi doprowadzić do celu poprzez wszelkie przeszkody. A mnie słuchającemu go, przypominali się moi znajomi z kraju i z Rosji. Mój Boże! z jednej strony ileż tam było sztucznego słomianego ognia, a z drugiej ilu renegatów, którzy z taką łatwością zatracali narodowość i przechodzili z czasem do obozu najzacieklejszych naszych prześladowców. Ilu było takich, którzy nie

---

Przez drzwi otwarte na oścież widniał ciemny salon. Smugi światła księżycowego słały się po posadzce, oświetlały fortepjan wysunięty na środek, z nutami na pulpicie, z szeregiem białych klawiszów.

Doktór wszedł do salonu ociężałym krokiem; usiadł przy fortepjanie.

W ciemnych kątach na białych kolumnach stały wazy z kwiatami.

Woń rezedy i heljotropu napełniała pokój; cicho tu było i chłodno od srebrnego światła księżyca.

Doktór zatarł ręce, wziął kilka akordów, spróbował klawiatury szumnym pasażem; po krótkiej pauzie grał preludjum Chopina, kończył i znowu zaczynał; ręce mu drżały, gryzł wargi, wsłuchany w ukochaną melodję; tą pieśnią skarżył się przed przeszłością, otwierał duszę przed zmartwychwstałem wspomnieniem.

Stary, zmęczony samotnik!

Grywał tak dla niej dawniej...

Słuchając, snuła się wzdłuż pokoju od jednych drzwi do drugich: ile razy obejrzał się przez ramię, widział całą jej postać wysmukłą na tle okien...

A on całą swą duszę wlewał w melodję, mówił o swej miłości gorącej, pokornej, wiecznej.. powtarzał gwałtowne przysięgi i błagał o litość...

A gdy stanęła przy fortepjanie — spokojny, obojętny, nie zdławionym głosem zapytywał, czy jej nie chłodno i radził udać się na spoczynek...

Cierpiał, jak potępieniec!

W oddalonym kącie parku jest jawor, pod którym ryczał nieraz, jak lew zraniony — pójdzie go jutro obejrzeć...

Od preludjum przeszedł do melancholijnego walca.

Hm, dziś gwałtownych uczuć nawet w muzyce oddać nie umie; zmiękł, ociężał i wystygł!...

Dlaczego jednak z pomiędzy tylu miłości i miłostek to jedno uczucie niewypowiedziane nazawsze zostało w pamięci?...

Od walca znowu wrócił do preludjum... lepiej odpowiadało jego niewyraźnemu usposobieniu, w którem jedne klawisze już się wcale nie odzywały — inne miały ton fałszywy, a reszta nadawała się już tylko do cichej, smutnej melodji.

— Pola bardzo do matki podobna! Oczy szczególnie!

Takie oczy widział raz jeden u zranionej sarny i odtąd nigdy już do sarny nie strzelał.

Za plecami usłyszał szmer lekki.

mogąc odrazu wyrwać z korzeniem uczucia, wyssanego z mlekiem matek, starali się usprawiedliwiać swoje nikczemne odstępstwo mdłemi teoryjkami . — Wy tam politykujecie — powiadali, — jątrzycie tylko dawne rany i uniemożliwiacie wszelkie porozumienie się. — Ha, porozumienie się! porozumienie między skrępowanym pętami niewoli, który nie chce ostatecznie się upodlić i całować z pokorą gniotącej go tyrańskiej stopy i między smagającym go za to ciemięzcą! Widziałem ja takich skłonnych do porozumień i dziś dziękuję gorąco Bogu, że podobne wrzody moralne dość łatwo odpadają od naszego społeczeństwa.

Poznałem podczas krótkiego pobytu w Rosji wielu takich, którzy gorąco obstawali za porozumieniem, gdy narodowość była im kulą u nogi w ich służalczej karjerze; spotkałem tam pewną pannę Polkę, która upodobawszy sobie ciężko głupiego wprawdzie, ale za to na podziw dobrze zbudowanego i bardzo tęgiego Moskala, twierdziła mi z ogniem w oczach, że konieczne jest porozumienie się i że zresztą... serce nie sługa! — A ja, — ja widząc jej pałający wzrok i nozdrza rozdymane namiętnością, przyznałem nawet w duszy, że porozumienie się między tą panną i tym Moskalem rzeczywiście jest konieczne. Tacy niech się porozumiewają. Pozostanie nam zawsze w odwodzie siła niezłomna, spokojna, która będzie cierpieć długie lata, ale na krok nie ustąpi; i ręki nie wyciągnie do hańbiącej zgody — to nasz lud...

Siedziałem pogrążony w ciężkiej zadumie, a Michał opowiadał mi dalej, jak to ich przemocą chcą zapędzić do cerkwi, jak się znęcają i obdzierają za opór.

— Ja sam, paniczku, — kończył opowiadanie — już tego roku zapłaciłem więcej jak sto rubli samych kar; a wiele jeszcze wziął pop, za to że miał nas niby to przerobić na katolików!

Tymczasem powoli zaczęliśmy się zbliżać do celu podróży. Słońce chyliło się już ku zachodowi, kryjąc za lasami zapłonione oblicze, koniki raźnie parskały, czując niedaleki żłób i wypoczynek. Do folwarku, gdzie mieszkała moja matka, trzeba było jechać przez wieś, Gdyśmy byli już przy końcu wsi, Michał spojrzał na mnie znacząco i wskazał batem w kierunku chaty, koło której przechadzała się godna kompanja: pop i dwóch strażników.

— Widzi panicz, jak węszą kruki te! — mruknął mój woźnica. — Niech jeno kto we wsi zachoruje, to już tak będą chodzić, a pilnować, żeby czasem nieboszczyk nie został pochowany na katolickim cmentarzu; a czasem to nawet i ze świętej ziemi wydrą, nie uszanują wiecznego spokoju.

Przyjechałem do domu, lecz całą radość spotkania po tak długiem niewidzeniu zatruwał mi nawał smutnych myśli, zbudzonych tem wszystkiem, com usłyszał. Przed oczami stawał mi ciągle obraz tej nowej rodzącej się walki, poczynającej głucho wrzeć i nurtować, walki, w której na widownię miały wystąpić rdzenne siły narodu. Z jednej strony niekrępująca się żadnemi względami podłość, brutalna przemoc, chęć dzikiej zemsty; z drugiej wytrwały, nie cofający się

Podniósł wzrok, wpatrzył się w białą kolumnę w kącie i słuchał, grał coraz ciszej... Delikatne pianissimo zlewało się z wonią heljotropu, ze srebrnemi smugami księżyca... rozpływało się w chłodnej atmosferze pokoju...

Towarzyszyło mu ciche, przeciągłe westchnienie.

Doktór nie wątpił, że gdy się obejrzy, ujrzy na tle okien snującą się wysmukłą postać...

Grał dalej machinalnie,.. Sam nie wiedział, dlaczego zwleka... Łowił uchem szelest i westchnienia, powtarzające się raz po raz...

Skupiał myśli, usiłował pozbyć się rozrzewnienia i... pewnej ociężałości, która go wskutek tych wspomnień ogarniać zaczynała... Pragnął fakt ten zaznaczyć z całą świadomością zupełnie trzeźwego umysłu...

Zacisnął powieki, a kiedy znowu oczy otworzył, widział dokładnie w kącie za fortepjanem białą marmurową kolumnę, majolikową wazę, każdy niemal kwiatek widział zosobna...

Wzrok miał zupełnie jasny, wybornie zdawał sobie sprawę z całego otoczenia.

Obejrzał się zwolna.

We drzwiach od gabinetu stała Pola, ramieniem o drzwi oparta.

Głowę pochyliła na piersi, oczy miała zamknięte...

Spała.

Doktór ręce opuścił na kolana i zwrócił się ku niej ostrożnie.

Twarz jego rozjaśniła się, szare oczki zamigotały w ciemności.

Wstał, cichym, kocim krokiem zbliżył się do niej; wyciągnąwszy szyję, słuchał przez chwilę jej równego oddechu — spała!

Krew mu uderzyła do głowy, wyprostował się, odetchnął z całych piersi.

Stał, namyślając się, co z nią zrobić? a wzrokiem obrzucał nikłą postać, przytuloną do drzwi... na zbladłych policzkach długie, czarne rzęsy rysowały się wyraźnie.

Ujął ją wpół ostrożnie, głowę na swojem ramieniu ułożył, przeprowadził ją przez gabinet do sypialni, położył jak senne dziecko na otomanie, podsunąwszy poduszkę pod głowę.

(Dok. nast.). *Osłoja.*

przed żadnemi ofiarami, upór, budząca się świadomość. Kto zwycięży?...

Byłem znużony ogromnie, ale zasnąć nie mogłem, głowa pałała mi gorączką. Wymknąłem się pocichutku do ogrodu, wsparłem się na okalający go parkan i puściłem wodze wirującym w szalonym pędzie myślom. Noc była cudowna. Blade, łagodne światło księżyca wypełniało całą okolicę, cieniując miękkimi tonami i nadając znanym przedmiotom jakieś nieznane fantastyczne kształty. Ziemia, zdało się, wypoczywała po całodziennym znoju, spowita w przeźroczystą tkaninę lekkiej mgły i balsamicznej woni pól i łąk i za każdym głębokim, jak morze, oddechem słała mi dziwne ukojenie i chłodziła moją rozpaloną głowę. Tuż przedemną była niewielka łączka, zasnuta, jak pajęczyną, tumanem ciepłych wilgotnych oparów, słaniających się jak widma w powłóczystym tańcu; nieco dalej niewielki drewniany kościółek, a jeszcze dalej, na wzgórku, cmentarz, cały skąpany w blaskach księżycowych, spokojny, jaśniejący drewnianemi krzyżami. Wieczny odpoczynek!... Pośród tych krzyżów poznałem jeden, drogi dla mego serca, to był krzyż mego ojca, zamordowanego kozackiemi nahajkami podczas powstania. Wpatrzyłem się w ten krzyż całą duszą i łzy gorzkie, jak chleb żebraczy, a ciężkie, jak niewola, toczyły się mi po policzkach. Lecz to były moje ostatnie łzy....

(Dok. nast).

Ibsen w ostatnim okresie swej twórczości.

II.

Kwestją samodzielności zajmuje się Ibsen w *Rosmersholmie*. W rozgrywającej się tamże walce politycznej stoją naprzeciw siebie przedstawiciel bezwzględnego autorytetu, rektor Kroll, odmawiający jednostce prawa swobody myślenia, oraz redaktor Mortensgard, człowiek wolnomyślny, który jednak z wolnomyślności swej wyciąga konsekwencję używania życia, ile tylko można. Atoli Mortensgard niewinnym jest barankiem w stosunku do takiego »wolnomyślnego« potworu, jak zmarły dr. West, którego znamy tylko ze słyszenia, bo w sztuce czynnego on udziału nie bierze, a który najszkaradniejszych dopuścił się zbrodni: uwiódł kobietę, przyjął do siebie swą córkę nieślubną, wychował ją w swych pojęciach i również ją uwiódł. Jeżeli Ibsen stawiał dotychczas samodzielność, indywidualistyczny rozwój jednostki, jako ideał, do tego stopnia, że Nora mogła powiedzieć: »zobaczę, czy ta lub owa prawda jest dla mnie«, to rezultatem takiego wyłamywania się z karbów autorytetu mógł być i Mortensgard i dr. West. Atoli osoby te nie są ideałami Ibsena, odrzucającego autorytet rektora Krolla: sympatja poety jest po stronie bohatera dramatu, Jana Rosmera, który również wydobył się z więzów autorytetu, którego jednak wrodzona mu szlachetność broni od etycznego nihilizmu. Rosmer postawił sobie za cel życia stworzenie »ludzi szlachetnych« — to jego hasło; a mają to być ludzie nietylko swobodnego ducha, ale i swobodnej woli.

Zmysłowości ludzi nie skazuje on na stłumienie, należy ją tylko uszlachetnić, a środkiem do tego uszlachetnienia ma być rozkosz. Rozkosz życiowa gra już rolę w »Upiorach«, gdzie poeta się skarży, że w ciasnych stosunkach uległa zepsuciu, że wyrodziła się w zwykłe używanie zmysłowe. W Rosmersholmie ta wesołość, ta rozkosz życiowa na pierwsze wysuwa się miejsce; Jan Rosmer uważa za swój obowiązek stworzyć naokoło siebie nieco światła, nieco rozkoszy. Źródłem tej rozkoszy ma być uczucie cichej, wesołej niewinności, a więc dobrej ludzkości, rozwijającej się pięknie i swobodnie na podstawie dobra.

Atoli ideał osobisty ma pewne konsekwencje dla wspólnego pożycia ludzi. Stąd też Rosmer oburza się na niekiełzane, stronnicze walki i zapowiada, że jego ludzie będą innymi. Odgrywa też u Rosmera wielką rolę współczucie dla innych ludzi, żywiół społeczny jest w nim daleko bardziej rozwinięty, aniżeli w innych dramatach Ibsena, a kulminuje ten żywioł społeczny w zasadzie: szczęście dla wszystkich, stworzone przez wszystkich! Z zdaniem tem posunął się Ibsen tak daleko, jak w ogóle ze stanowiska etyki indywidualistycznej posunąć się można. Atoli takiego nacisku, jaki poeta kładzie na moment indywidualistyczny, nie znajdujemy u niego w dziedzinie społecznej nigdy, a charakterystyczną jest rzeczą, że w żadnym dramacie nie roztrząsa Ibsen stosunku jednostki do państwa.

Natomiast zajmował się on niejednokrotnie instytucją społeczną, gdzie dwa indywidua są ze sobą złączone i gdzie kwestja samodzielności jednostki staje się palącą, — mianowicie instytucją małżeństwa. Problemat małżeński jest punktem środkowym, około którego obraca się akcja w »Norze«, w »Upiorach«, w »Pani morza«, odgrywa wielką rolę w »Heddzie Gabler« oraz w »Małym Eyolfie«. »Nora« i »Hedda Gabler« zajmują się kwestją nowożytnego wychowania dziewcząt. Pozytywny ideał pod tym względem postawił Ibsen w »Petrze« w »Wrogu ludu«. Nie jest ona emancypantką w zwykłem tego słowa znaczeniu, pomimo to jednak bierze udział w kwestjach, poruszających życiem, pracuje razem z ojcem, ma odwagę wypowiadania własnego sądu i o tyle skazana jest na siebie, że utrzymuje się

z udzielania lekcji w szkole. Zupełnie inaczej wychowaną jest Nora; ojciec nazywał ją swą lalką i bawił się z nią; własnego sądu mieć jej nie było wolno. Ona przyzwyczaiła się do tego, pozwalała na bawienie się z sobą, nie kłopocząc się o nic. Takiego samego traktowania doznawała ze strony męża, Helmera, który ją nazywa swą wiewiórką i swą ptaszyną śpiewającą. I Nora stosuje się do tego, a mąż jej nie uczuwa potrzeby otwierania przed nią wnętrza lub zaglądania do jej duszy. Dopiero przypadek odsłania przed nią z jednej strony bezgraniczny egoizm męża, a z drugiej strony jej nędzną rolę — wiewiórki. I wtedy to decyduje się Nora, trapiona uczuciem samodzielności, opuścić dom męża, aczkolwiek opuszczając Helmera, opuszcza i dzieci niewinne. Opuszcza dom męża dla tego, że nie spełni tutaj obowiązku względem samej siebie. Ibsen nie myśli o dzieciach, sam fakt, że w domu Helmera trudniej byłoby Norze spełnić ten obowiązek wobec siebie samej, aniżeli po za jego progami, dla indywidualistycznej etyki Ibsena jest zupełnie wystarczającym.

Bezpośrednio po Norze puścił poeta w świat »Upiory«, w których poruszył znowu kwestje stanowiska kobiety oraz kwestję rozwiązalności małżeństwa. Cofnął się on tutaj kilka kroków w tył, aby tem lepiej módz bronić raz zdobytej pozycji. Pani Alwing wychodzi za szambelana Alwinga bez miłości, dla tego tylko, ponieważ według pojęć świata dobrą był partją. Pchała ją do tego małżeństwa matka, ciotki itd. Już tę sprzedaż córki charakteryzuje Ibsen, jako winę. Atoli Ibsen pragnie uwydatnić także i winę pani Alwing i w tym celu komponuje następującą historję. Pani Alwing przekonała się, w pierwszym zaraz roku małżeńskiego pożycia, że mąż jej skończonym jest rozpustnikiem i pijanicą. Ucieka więc do kochanka z lat swej młodości, pastora Mandersa, który atoli każe jej wrócić do męża, gdyż to ma być jej obowiązkiem. Pani Alwing słucha, a w rok lub dwa lata później rodzi jej się syn; mąż jej żyje jeszcze lat 18, oddając się rozpuście, a żona pomimo, że go od tego powstrzymać nie może, pozostaje przy jego boku; ma ciągłe piekło przy nim, a syn jej wskutek rozpusty ojcowskiej przyniósł zarodki szaleństwa, które już w całej wybuchają potędze. Zewnętrznej legalności stało się zadość i p. Alwing prawą jest małżonką: wraca do męża, jak każe prawo, ale ofiarą zewnętrznej tej legalności padają dwa zmarnowane życia i dla tego Ibsen ma słuszność, jeżeli p. Alwing potępia i za takie zamążpójście i za powrót do takiego męża



NURTY.

przez

CEZAREGO JELLENTĘ.

Dramatycznemi ogniwami nazwał pan Jellenta swoją opowieść i pod tą fantazyjną formą nawpół dramatu, nawpół dramatycznych obrazów, dał nam kilkunastu sztrychami narzucony wizerunek rozgoryczonej, smutnej, chorej duszy.

Jak ludzkość ludzkością, tak są te smętne duchy, te błąkające się po szafirowych przestrzeniach myśli samotne komety o mglistym, tęsknym promieniu za sobą. Smutek »padołu łez« skrystalizował się w ich istotę. Wchłonęli w siebie wszystko, co jest na ziemi niezadowoleniem, dysharmonją, odczuciem nieprawdy i niedostateczności; i umęczeni tą ciągle obecną samowiedzą braków, przejęci tęsknotą ku czemuś innemu, lepszemu, szarpią się ustawicznie w skuwających ich warunkach rzeczywistości. Gorycz ich obezwładnia; a jeśli porywa, to na jakieś niesforne, wybuchające czyny, bez oglądania się na skutki, na nieugiętą logikę przyczyn i następstw. Wytrwała, szczera, plenna praca dla nich nie istnieje; znękanego ducha nie umocni wzniosła rezygnacja religijna, nie zaboli szczerze ból cudzy, z osobistem rzetelnem nieszczęściem nie spotykali się również — po drodze życia, usłanej różami, idą znękani, z niewygasłą goryczą, w ciągłej rozterce z sobą i ze światem, chłonąc piersiami opary, bijące z dołu, z oczyma w jakąś górną, mglistą przestrzeń utkwionemi.

Przypominają sobą owe znane medycynie typy wiecznych wędrowników, których jakaś niewytłumaczona, a nieprzeparta tęsknota goni z miejsca na miejsce, zawsze smutnych, zgnębionych, żądnych nowych wrażeń i wciąż rozczarowanych; żadne względy tego świata nie są w stanie ich zatrzymać, aż póki znędzniałych, wyczerpanych nie utuli i nie uspokoi — dach szpitalny.

Bohater pana Jellenty jest takim wędrownikiem bez odpoczynku i wytchnienia, goniącym za czemś, co się uchwycić nie da, rozgoryczonym do głębi i tem, co go otacza, i tem, co sam w sobie nosi.

Bohater »Nurtów« jest takim duchem niezdrowym, zbolałym, niedorzecznym; żywy to okaz z przełamującego się świata, kiedy stare bóstwa umierają, a nowe ledwo zdali, w niepewnem zarysowują się świetle; niedołężny prawnuk Hamletów dziewiętnastego stulecia do żadnego czynu niezdatny, rozpieszczony, zgnuśniały, ale bliski im wiecznym niepokojem ducha, gorzkiem niezadowoleniem ze współczesności, nieuśpioną tęsknotą ku szerszym krajom, ku jaśniejszym

światom, gdzie byłoby piersiom jego wolniej, jego duszy chybcej i porywniej.

Pieszczochem losu można byłoby nazwać tego nieszczęśliwego mistrza Stefana. Młodość, zdrowie, dostatek, wielki poetycki talent, wynoszący go po nad zwykły poziom, dają mu wszelkie szanse do używania przywilejów, dostępnych dla wybrańców tego świata. W najbliższem otoczeniu niemniej jest szczęśliwy: los daje mu wiernego przyjaciela, istnego Pylladasa, który gotów niańczyć się z nim, jak z rozpieszczonem dzieckiem, ma żonę, silnie i wiernie doń przywiązaną i córkę, idealną dziecinę, którą uwielbia bez granic. Po wielu niepokojach i wysiłkach dochodzi do wymarzonego szczęścia, którego tak pożądał gorączkowo: zyskuje sławę. Był czas, gdy krytyka nie chciała go uznać, a zawiść tamowała mu drogę lub cierniami ją słała; teraz pokonał wszystkich siłą swego talentu i zbierać może tylko same róże hołdów. Próżność, która jest rdzeniem jego istoty, daje mu wruszenia niewysłowionego zadowolenia. Spotykane adoracje upajają go. Chce je wchłonąć wszystkie, tryumf wyczerpać do ostatka. Nie może odmówić zatem wezwaniu na ucztę w Tatrach, gdzie go chcą uczcić wielbiciele jego talentu.

Nadaremnie żona we łzach przedstawia mu niemożebność odległej podróży ze względu na nadwątlone zdrowie dziecka, daremnie kilku chłodniejszemi wyrazami stara się ostudzić połechtaną pochlebstwem, i rozigraną żądzę sławy — na troskę o dziecko ma w pogotowiu parę zręcznie naciągniętych formułek o hartowaniu i nieprzeczulaniu, na uwagi żony odpowiada goryczą, na jej łzy — sarkazmami. W Tatrach, w gronie przyjaciół, wśród ogólnie wesołego nastroju, w dymie pochlebnych kadzideł, czuje się wesołym, raźnym, szczęśliwym: i nic nie zapowiada burz, które przyciszone grzmią gdzieś w zakątku jego duszy. Lecz gdy ciaśniejsze kółko przyjaciół odłącza się od całego grona, aby przepędzić noc w jednym z najbardziej uroczych zakątków Tatr, budzą się te burze, wypełzają mętne chmury i opanowują wszechwładnie giętkim, podajnym duchem poety. Apatja, smutek, rozpacz, doprowadzają go do szału nieledwie. Przyjacielowi, który pośpieszył mu na ratunek, spowiada się, że straszą go jakieś dziwne, zagadkowe przywidzenia: zdaje mu się, że te Tatry, w szafirowej nocy tak czarne i posępne, są oddawna znanym mu obrazem — tak znanym, tak następnie z dawna uprzykrzonym, że nawodzą nań bezgraniczną nudę i tym płaszczem nudy wszystko mu pokrywa się dokoła. Ogarnia go martwota; boi się każdego ruchu, choćby poruszenia ręką, boi się każdego wrażenia, każdej myśli żywszej, bo go przejmuje nieopisany przestrach, że nie podoła im, nie udźwignie i wkrótce ugrzęźnie »w żywiole bez dna, bez powietrza, chwiejnym jak trzęsawisko, szarym jak dzień słotny«... Podobne kryzysy napadały go już nieraz; nie przewiduje ich końca i nie widzi wyjścia z tych męczarni. Zbawićby go mogło chyba jakieś wrażenie silniejsze, jakieś uczucie bezmierne, potężne, któreby go wyrwało ze szponów apatji, zawładnąwszy nim bezpodzielnie. Byłoby mu ono deską ratunku, szczęściem, któremby się cieszył wśród największych chociażby plag tego świata.

Jakoż, na grunt tak przygotowany uczucie to zjawia się rychło. Jest niem miłość gorąca, gwałtowna, nieznająca żadnych tam i względów. Jego małżeńskie pożycie, jak wnosić można, nie należało do najszczęśliwszych. Żona, chociaż mocno przywiązana, nie adorowała go dostatecznie; mąk jego, porywów, nie rozumiała ani im współczuła; a ze swej strony czuła się boleśnie podeptaną w swem uczuciu, które przed żądzą sławy na podrzędne schodziło stanowisko. Wynikały między nimi sceny, które w poecie budziły tylko zniechęcenie.

To też od pierwszej chwili zgadnąć było łatwo, że Dela, owa płomienna, żywa, egzaltowana dziewczyna, sama pisząca wiersze i uwielbiająca mistrza bez granic będzie tą wybraną, przy której błędny duch jego spocznie. Oboje wyróżniający się wśród ogółu niepowszedniością swych natur stoją wyżsi i zupełnie samotni, gdy się spotkali i zrozumieli dążą ku sobie z nieprzemożoną siłą wzajemnego przyciągania. Zrazu uczucie to przynosi poecie upragnione przebudzenie się z apatji, lecz już po bardzo krótkich chwilach szczęścia i spokoju żądza podróży znów go opanowuje.

(C. d. n.). *W. Dai ka*

Wiadomości bibljograficzne.

Dickstein S. Hoene Wroński, jego życie i dzieła. Kraków, nakł. Akademji umiej., Spółka wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1896, w 8ce większej, str. IV i 368, z portretem Wrońskiego i podobizną jego pisma.

Materjały antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne, wydawane staraniem Komisji antropologicznej Akademji umiejętności w Krakowie, tom I. Kraków, nakł. Akademji, Spółka wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1896, w 8ce, str. X, 108 i 426, z 1 tabl. rysunkową, 10 mapkami, 1 tabl. graficzną i 4 cynkotyp. 3 złr. 50 cnt.

Zawiliński Roman. Przyczynek II. do etnografji Górali polskich na Węgrzech (Odbitka z Materjałów antropolog-archeolog i etnograf. Akademji umiej. w Krakowie). Kraków, nakł. Akademji Spółka wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1896, w 8ce, str. 46, z 3 rycinami w tekscie.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.